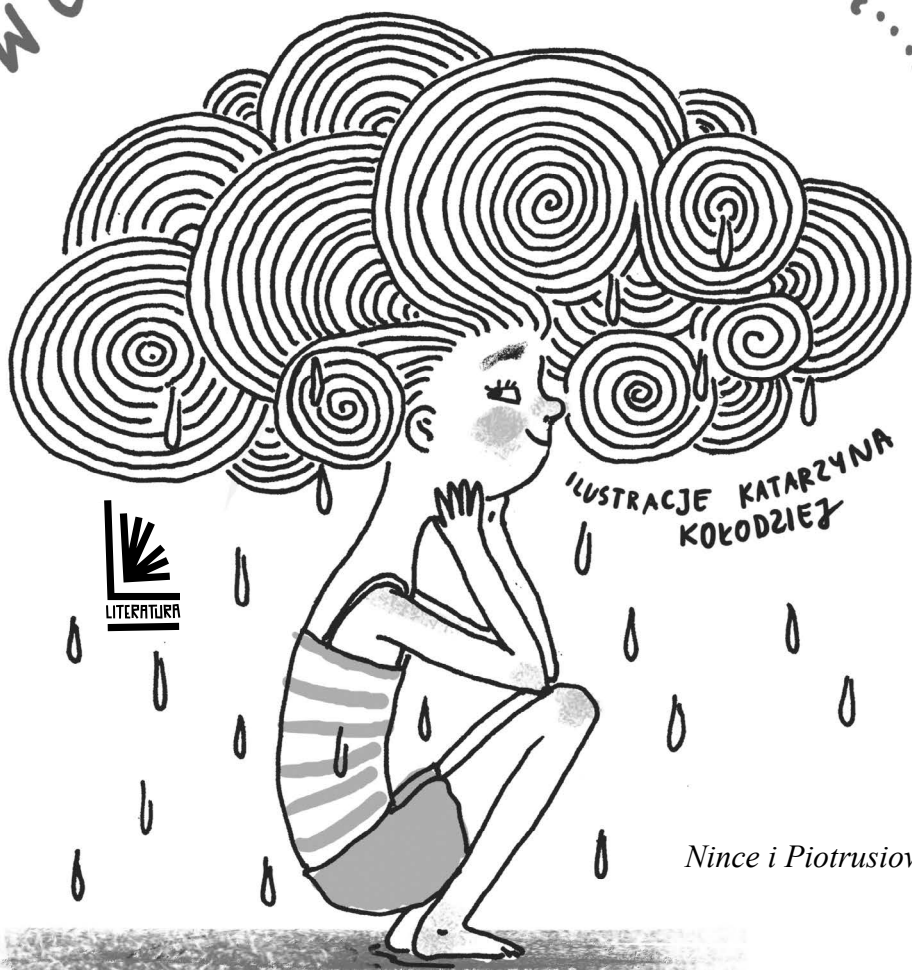


MARZENNA PLICH-NOWAK
W CZASIE DESZCZU DZIECI SIĘ NUDZĄ...?



ILUSTRACJE KATARZYNA
KORODZIEŻ



Nince i Piotrusiowi

Marzenna Plich-Nowak
W czasie deszczu dzieci się nudzą...?

© by Marzenna Plich-Nowak
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-647-2

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl



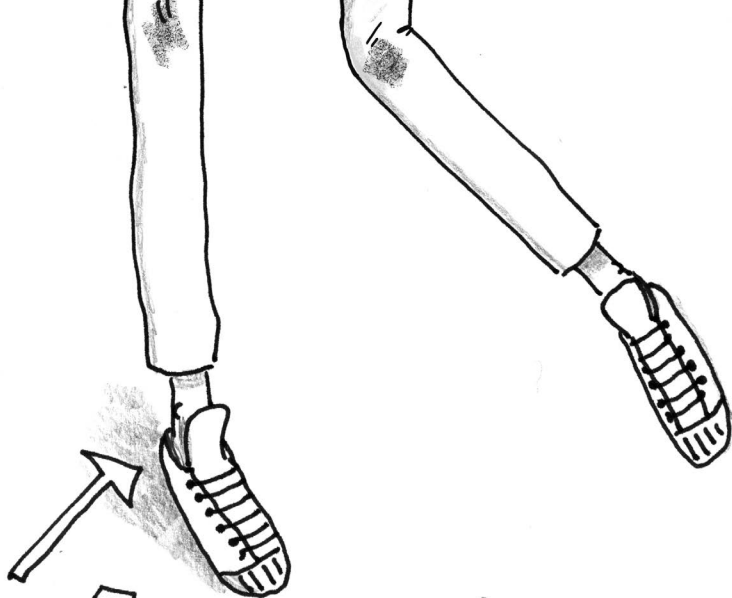
...moja nietypowa rodzinka. Jako że słowa „szalona” i „zwariowana” zarezerwowane są dla rubryk z serduszkami, no wiecie: „Jestem szaloną nastolatką, mam kota Psota i interesuję się sportem” albo: „Jestem zwariowana na punkcie swoich 123 warkoczyków i muzyki reggae”, dla mojej rodzinki wybrałam mniej zużyte słowo – „nietypowa”. Brzmi niezłe, prawda? Ale zacznę od siebie.

Właśnie siedzę przy swoim biurku, a właściwie naszym wspólnym biurku, bo to biurko należy także do Diany, i usiłuję napisać *Moje wspomnienia z wakacji*. Koszmar! Czy każda belferka od polskiego musi już trzeciego września zadać ten sam temat wypracowania?... A jak ktoś nie był na wakacjach albo cały lipiec i sierpień spędził po raz trzynasty u tej samej babci i tego samego dziadka, to co ma napisać?... To pewne, że coś zmyśli. Ale czy w takim razie nie lepiej od razu zadać temat: *Wakacyjny horror* albo *Wczasy wygibasy*? I już główka pracuje, wyobraźnia pęka w szwach. A tak... „Tegoroczne wakacje spędziłem bardzo miło”. To wstęp. Teraz akapit i rozwinięcie: „Zaraz po przyjeździe do domu wczaso-

wego poszliśmy na plażę. Na plaży spędziliśmy całe dwa tygodnie. Jedliśmy lody i kąpaliśmy się w morzu”. Znów akapit i zakończenie: „Te wakacje były naprawdę udane”. Straszne nudy! I wyobraźcie sobie, że belferka musi przeczytać trzydzieści takich opowieści o niczym. Ale, ale... Miałam powiedzieć coś o sobie. To wcale nie takie proste. Już chyba łatwiej napisać to beznadziejne wypracowanie. No bo od czego zacząć?... A niech tam!

Po pierwsze, mam okropny nos. A jak już Gogo w przyływie czułości powie do mnie: „Mój ty piegowaty kartofelku”, od ręki wymieniałabym go, ten mój okropny nos, na hollywoodzki. No wiecie: prosty, malutki, skrzydełka nozdrzy ledwo widoczne, dziurki mikroskopijne. Powstrzymuje mnie przed tym jedynie brak gotówki, nie wiem jak u was, ale u mnie permanentny, i jednak spore wątpliwości co do przydatności takiego noska. Czy można takim noskiem oddychać?... Po drugie, skubię paznokcie. Są kruche, łamią się i bez przerwy zawadzam nimi o ciuchy. Więc je skubię. Wiem, wiem: od czego są nożyczki? Mama też mnie o to pyta, ale jak ktoś z was skubie paznokcie, to mnie rozumie bez dwóch zdań... Po trzecie, mam ogromne stopy, numer czterdzieści. Przy moim wzroście – metr sześćdziesiąt – wyglądają śmiesznie. Ale nie ma na to rady. Podobno jeszcze urosnę i będę bardzo wysoka. Tylko kiedy to będzie?

Co by tu jeszcze dodać?... Aha! Mam ciemne włosy, gęste i długie, zielone, wąskie oczy, dlatego Diana mówi do mnie „kocie”, za długie nogi i za długie ręce, Gogo śmieje się z tego, i długą szyję. Przyznaję, długa szyja to



To właśnie ja,
Matylda...

jedyne, co mi się we mnie podoba. Mogę zakładać wysokie kołnierzyki, stójki albo dziesięć sznurów korali naraz. *À propos*: lubię ozdoby. Najchętniej plastikowe, kolorowe, żeby było wesoło, no i spodnie. Moje nogi w spódnicy wyglądają jak dwa szczudła, dlatego w szafie nie mam ani jednej, tylko – uwaga! – dwanaście par spodni!

To by było chyba wszystko. Chociaż... Jeszcze jedno: jestem straszną gadułą. Mama mówi, że gdyby przewidziała, jaka będzie ze mnie trajkotka, nigdy nie dałaby mi imienia Matylda. To taka niedługa historia... Mama leżała w szpitalu i kiedy poczuła, że zaraz się urodzę, zawołała lekarza. Lekarz, owszem, przyszedł do mamy, ale po-

wiedział, że to jeszcze trochę potrwa i włączył mamie na uspokojenie radio. A w radiu nadawali właśnie piosenkę Roda Stewarta, za którym mama przepada, o Matyldzie. Bardzo nastrojową i powolną, mama takie lubi. Więc jak się w końcu urodziłam, mama nie miała wątpliwości, że jestem Matyldą. Nietypowe imię, prawda?

Naprawdę nietypowe jest jednak imię mamy: Klementyna. I trochę dziwne. Bo u mamy w rodzinie od kilku pokoleń są same Klementyny. To taka rodzinna tradycja, której kres położyły dopiero narodziny Diany, a potem moje.

Mama mamy, babcia mamy i prababcia nosiły imię Klementyna. I pomyśleć, że mnie i Dianie też to groziło. Mama wykazała się niezwykłą odwagą, zrywając z tą okrutną tradycją i nadając pierwszej córce, czyli mojej kochanej siostrzyczce, imię Diana. Gdyby Diana została Klementyną, ze mną sprawa byłaby niezwykle skomplikowana; rodzina bowiem nie przewidziała wyjścia awaryjnego na okoliczność narodzin drugiej córki. Do tej pory w rodzinie mamy rodziło się dwaj, trzej, a nawet czterej chłopcy. Dziewczynka zawsze jedna, dla okrasy.

Ale Diana została Dianą. Więc gdy urodziłam się ja, rodzina mamy szykowała kolejny zamach, tym razem na moje imię. Tu muszę koniecznie dodać, że tak jak czyniła to z pokolenia na pokolenie, i tym razem rzeczona rodzina mamy uzgodniła z drugą rodziną, czyli z rodziną taty, iż imiona nowo narodzonym osobnikom płci żeńskiej nadebrać będzie ród Fikasów z mamą na czele, a imiona nowo narodzonym osobnikom płci męskiej – ród Walków, czyli tata i pozostali Walkowie. Ale wracając do rzeczy...

Mama się nie poddała, co mama mamy, czyli moja babcia, skwitowała krótko: „Z tego będzie jakieś nieszczęście”.

„No i jest” – uśmiecha się mama, gdy gadam jak na-
jęta. „A swoją drogą – dodaje – wyobrażacie sobie dwie
albo, nie daj Boże, trzy Klementyny w jednym domu? To
byłoby nie do wytrzymania”.

Mama jest kochana i po prostu cudowna. Kanapki
do szkoły w jej wykonaniu to kulinarne perełki: chlebek,
cieniutka kromeczka, maselko, sałata, szyneczka, znów
sałata, rzodkiewka i pomidorek. Palce lizać! Pycha! A do
tego liścik: „Baw się dobrze!” albo „Całuski dla mojej
gadulki!”, za każdym razem inny. Pomyślcie tylko: przez
dziesięć miesięcy codziennie inne zdanko! Prawda, że to
nie lada sztuka?...

Mama nie pracuje. To znaczy nie pracuje zawodowo.
Wprawdzie skończyła studia – architekturę krajobrazu, ale
już po narodzinach Diany zrezygnowała z pracy w biurze
projektów i została gospodynią domową (nie mylić z kurą
domową). I chyba tego nie żałuje, bo zawsze mówi: „Wy
(to znaczy Diana, Gogo i ja oczywiście) oraz tata jeste-
ście moim szczęściem. Jakby kiedyś trzeba było, wrócę
do biura, ale na razie uwielbiam gotować wam obiadki”.
Naprawdę mama tak mówi i dlatego jest taka nietypowa.
Zawsze ma ładną fryzurę i pomalowane paznokcie. Tata
ją uwielbia. Sadza ją sobie nieraz na kolanach i mówi:
„Klementynko, gdyby nie ty, ten dom by się zawalił”.

I to jest jedno z niewielu zdań, jakie wypowiada tata.
Bo jego ulubionym zajęciem jest nicniemówienie, a ko-

niecznym zajęciem – delegacje. Taty tak często nie ma w domu, że gdyby nie jego portret namalowany przez Dianę, zapewne zapomnielibyśmy, jak wygląda. „Jak mus, to mus” – wydobywa z siebie tata, a my nie mamy mu tego za złe, że tak rzadko jest z nami. Bo przecież to on zarabia pieniądze. Jest geodetą i ma na imię... No... Nie zgadniecie... Teofil. To też jest taka krótka historia, która uczy, że nie należy zdawać się na przypadek, bo skutki mogą być katastrofalne. Otóż...

Tata leżał w kołysce, a nad nim zebrała się cała rodzina. W przeciwieństwie do rodziny mamy, w rodzinie taty za punkt honoru stawia się nadanie każdemu nowo narodzonemu członkowi rodziny imię, którego jeszcze w rodzinie nie było. I tak wuj taty wpadł na pomysł, że z zamkniętymi oczami wskaże na chybił trafił imię w kalendarzu. Jeśli się powtórzy, trudno, jeśli jednak nie, to... No właśnie... Palec wuja trafił w Teofila. I tak już musiało zostać. Musiało, bo jak stwierdził wuj: „Odejdzie od imienia wskazanego przez los to zła wróżba”.

Ja tam uważam, że to był beznadziejny przypadek, a nie żaden los czy przeznaczenie. Jak widać po imieniu taty, lepiej się na przypadki nie zdawać.

Moi kochani starszycy są nietypowi i ze swoimi nietypowymi imionami stanowią całkiem udaną parę. Mama uważa, że to idealna sytuacja – ona przez cały czas w domu, a tata od czasu do czasu. Dlatego każde z nich może od drugiego odpocząć. A kiedy są razem, to tak za sobą stęsknieni, że o jakiegokolwiek między nimi kłótni mowy być nie może.

Jedynym minusem tej sytuacji są nieustające ataki Gogo na moją niewinną osobę. Ech! Gdyby tata był częściej w domu! Ale cóż...

Gogo, jak się już pewnie połapaliście, to mój brat, dwa lata starszy ode mnie. Ma więc lat piętnaście i to jest chyba rzeczywiście najtrudniejszy okres w życiu młodego człowieka (tak twierdzą naukowcy). Młody człowiek zaczyna właśnie dojrzewać w zawrotnym tempie i wyskakują mu od tego na twarzy pryszczki (naukowo – trądzik młodzieńczy) i garbi się bez przyczyny, wyciągając ręce do kostek. Wypisz wymaluj: Gogo. Ile razy pomyślę, że miałabym do niego mówić: „Gabrielu” albo „Gabryś”, robi mi się słabo. Tak, tak! Tak właśnie Gogo ma na imię.

Kiedy się urodził, był podobno śliczny jak aniołek, więc nasza ciotka Idalia, siostra taty, z zachwytu aż krzyknęła nad becikiem, że taki śliczny chłopczyk może mieć



na imię tylko Gabriel. Takiego imienia w rodzinie Walków jeszcze nie było. A ponieważ tata przy całej swojej małomówności z ciotką Idalią w ogóle nie dyskutuje, nigdy i na żaden temat, i tym razem się nie odezwał. A w miarę jak Gabryś rósł i miał coraz dłuższe różki, czy to dlatego, że nie był już taki słodki, czy też dlatego, żeby za dużo nie mówić, tata zaczął się zwracać do niego „Gogo”. I ja się z tatą zgadzam: to do Gogo pasuje.

No więc Gogo wciąż mnie zaczepia. Dobry jest każdy powód. „Nie zakręciłaś kranu!” – wrzeszczy albo: „Przełącz, mała, kanał!”, albo: „Co? Jeszcze nie zrobiłaś herbaty?!”. I tak w kółko. Mam tego serdecznie dosyć. Ale pociesza mnie fakt (wyczytany w książkach), że młody człowiek z tej durnoty wyrasta i staje się całkiem normalny. Uff! Ja jestem cierpliwa. Poczekam. I żebyście nie mieli wątpliwości: Gogo nie ma dziewczyny. Wszystkie są głupie i nie ma z nimi o czym gadać. Tak uważa. A ja nie mam zamiaru wyprowadzać go z błędu. Niech tkwi w nieświadomości.

I to by było tyle o Gogo.

Teraz Diana, moja starsza siostra, od Gogo dwa lata, ode mnie – cztery. To nie będzie łatwe zadanie. Bo czy o artystach można powiedzieć coś jednoznacznego? Niby normalni, a nienormalni. Niby nienormalni, a jednak można z nimi pogadać. O wszystkim. O miłości też. Diana twierdzi, że gdyby nie miłość, taka prawdziwa, życie nie miałyby żadnej wartości. Dlatego Diana potrafił się zakochać z dnia na dzień, byle nie tracić czasu i dać sobie kolejną szansę. Bo każdy dzień bez poszukiwania miłości

jest stracony, według Diany oczywiście. Nie zaprzeczam. I ciężko mi na sercu, jak pomyślę, że mam już trzynaście lat i w nikim się jeszcze nie zakochałam. Ile to straconych dni. Nawet nie próbuję policzyć. Tym bardziej, że Diana mnie pociesza: „Nie martw się. Na każdego przyjdzie pora. Na mnie też przyszła”... No to czekam. A Gogo się śmieje: „O! Następna niemądra! Żeby nie powiedzieć głupia!... I o czym z takimi gadać?”. Niech mu będzie! Tyle jego, co nam podokucza.

Ale wracając do Diany... Diana jest artystką. Rączek do pracy to ona nie ma, za to pisze wiersze, nawet całkiem, całkiem, i maluje, najchętniej portrety. Dlatego nie tylko tata, ale wszyscy członkowie naszej rodzinki mają je, łącznie ze mną oczywiście. Żeby było pikantniej, ma je także narzeczony Diany – Franek, w różnych pozach i w różnych sytuacjach. Większość jego portretów namalowała Diana z pamięci, z braku modelu, a tylko jeden jak do tej pory z tak zwanej natury. Otóż moja kochana siostrzyczka posadziła Franka na stołku, ma się rozumieć bez oparcia, i kazała mu tak siedzieć przez kilka godzin. Franek wytrzymał. Dzięki temu zrozumiała, że oto znalazła swojego rycerza. „Niedorajdy mnie nie interesują – mówiła zawsze. – Poczekam na kogoś wyjątkowego”. I się doczekała.

Cała Diana! Utalentowana i pewna siebie. A poza tym, co tu dużo mówić, prześliczna. „Jak rzymska bogini łowów: wysmukła i zwinna” – podziwiała ją tata. A mama przypomina mu wtedy, że imię Diana nadała jednak Diane nie ona właśnie, po którejś z kolei lekturze *Ani z Zielone-*

go *Wzgórza* (mama przeczytała już *Anię* chyba z dwieście razy). Przyjaciółka Ani miała na imię Diana i mamie marzyła się taka serdeczna przyjaźń, więc pierwszej córce, po walce stoczonej z rodziną, nadała imię przyjaciółki Ani. „Jaka tam z niej Klementyna, Teosiu! – powiedziała po przyjeździe ze szpitala. – To Diana, jak nic. Już jest moją przyjaciółką, ta śliczna istotka”.

Diana ma czarne kręcone włosy (moje za nic się nie chcą kręcić), szare duże oczy i mały nosek, wcale nie hollywoodzki. Do tego jest zgrabna, wybitnie. I wysoka, metr siedemdziesiąt pięć, jak modelka. Tata się nią zachwycił i kiedy Diana czyta swój kolejny wiersz, kwituje: „Moja krew”. Ale ja nie jestem zazdrosna o Dianę. Bardzo ją kocham. Zresztą Gogo też kocham, pomimo wszystko, ale zupełnie inaczej i za co innego.

Bo jeszcze wam nie powiedziałam, że przy całej swojej dokuczliwości Gogo jest nieraz bardzo pomocny. Tak jak tata potrafi zrobić wszystko. No, może prawie wszystko, bo, prawdę mówiąc, do taty mu jeszcze daleko. Ale jak na takiego wyrostka potrafi bardzo dużo. Naprawił mi półkę w biurku, mamie – młynek do kawy i zrobił nawet radio na kryształki. Grało. Byłam z niego dumna. I jestem z niego dumna często, bo w domu wciąż coś się psuje, a jak nie ma taty, a nie ma go czasem przez wiele dni, jak już wiecie, to Gogo wszystko, co się popsło, naprawia. „Mój kochany synuś” – mówi mama, bo Gogo jest jej oczkiem w głowie. Wiadomo! Jedyne mężczyzna w domu pod nieobecność taty. Myślę sobie, że jak Gogo już całkiem dojrzeje, przestanie się garbić i dostanie gład-



kiej cery, to z tymi jego blond włosami po mamie i zielonymi jak moje oczami może nawet daleko zajść.

Tata marzy, że Gogo zostanie inżynierem, Diana znaną artystką malarką albo poetką, wszystko mu jedno, a ja... No właśnie... Ze mną to nie jest takie jasne, kim zostanę. Wierszy nie piszę, portretów nie maluję, wbić gwoźdźcia w deskę nie potrafię i nawet do kuchni nie mam ciągot. Jedyne, co teraz lubię naprawdę, to czytać. Tylko czy z tego coś wynika?... Wszystko się wyklaruje,

tata ma taką nadzieję. „Dalaś sobie radę w Bagienku, to i z wyborem zawodu dasz sobie radę” – twierdzi. Pewnie, że tak! Ale z tym wypracowaniem nie pójdzie mi łatwo... Muszę koniecznie napisać coś ciekawego... „Temat stereotypowy, ale praca – nie” – powie belferka.

Wciąż nie wiem, dlaczego nie wymyśli niestereotypowego tematu. Nie chce jej się? „Chce was zmusić do wysiłku intelektualnego – uważa mama. – Nie sztuka zadać niekonwencjonalne pytanie. Sztuką jest odpowiedzieć na proste pytanie inaczej niż wszyscy”. No i dyskutuj z mamą! Sami widzicie... Najpierw muszę sobie w głowie wszystko ułożyć.

Od czego by tu zacząć? Może od tego, że kiedyś bardzo nie lubiliśmy deszczu. Wszyscy: mama, tata, Diana, Gogo, no i ja oczywiście. Kiedy tylko na szybach pojawiały się pierwsze krople, mama jęczała: „Pada. Jest tak szaro i ponuro. Filuniu, jak ty pojedziesz w taką pogodę?”. Tata machał ręką i odpowiadał, jak zawsze w kilku słowach: „Taki mój los, Klementynko”. A my rozkładaliśmy bezradnie ręce. „Nie można wyjść na podwórko! Boli mnie głowa i chce mi się spać! Jak długo to potrwa?!” – stękaliśmy. Pokładaliśmy się na łóżkach albo włączaliśmy telewizor. Tak jest najprościej, czyż nie? Padasz na łóżko i przesypiasz pół dnia albo włączasz przycisk i już jesteś w innym świecie. Ale jakim?! Sztucznym, nieprawdziwym. Człowieku! Życie ci ucieka! Jak najbardziej prawdziwe i ciekawe!

„Ale mądrała!” – myślicie. Dobrze wiem. Ja też myślałabym tak kiedyś o kimś, kto trułby jak teraz ja. Więc już nie truję i... Do rzeczy!

Właśnie zbliżały się wakacje. Przeszło rok temu. Którejś soboty, gdy tata pojechał w delegację, a w telewizji nie było nic ciekawego, mama usiadła z nami przy stole i powiedziała:

– Za dwa tygodnie jedziemy do Stokrotki.

Gogo, Diana i ja oczywiście przewróciliśmy oczami.

– Znowu?! Tam zawsze pada!

– Dopiero czwarty raz. Cieszcie się, że w ogóle wyjeżdżamy. Inne dzieci...

– Oj, mamó. Tam są takie nudy! Nie ma co robić. Siedzimy w domu wczasowym i czekamy na zmianę pogody. I pogoda się nigdy nie zmienia, a telewizor jest wiecznie zepsuty.

Mama przyznała nam rację, ale nie dawała za wygraną:

– Docęńcie chociaż to, że możecie się wyspać.

A Diana na to:

– Akurat! O dziesiątej śniadanie, obiad o czternastej, kolacja o osiemnastej. Ile razy chcę spać, to mnie budzą.

– Jednak jedzenie podane, nie trzeba gotować i w ogóle – broniła swoich racji mama, ale coś jej to nie szło. – No, dobrze... – poddała się w końcu. – Przyznaję, Stokrotka to żadna wielka atrakcja, ale jak znów ma padać, to lepiej tam niż gdzie indziej.

Ot, taka mamy logika.

– Ale kto powiedział, że znów będzie padać? Tyle razy padało, to teraz nastaną upały. Zobaczysz – pocieszał ją Gogo.

– Mój kochany synuś pocieszyciel – mama pogłaskała go po głowie i na tym zakończyła się dyskusja o Stokrotce.

Minęło parę dni i do domu wrócił tata. Stał w drzwiach i już od progu zawołał, co zupełnie nie było do niego podobne:

– Kochani! Zmiana planów! Nie jedziemy do Stokrotki! Pewnie wam będzie przykro, ale jak wszystko opowiem, to nabierzecie chęci do wyjazdu w całkiem innej strony. Nie smućcie się. Umyję ręce, zjem coś, a potem przedstawię swój plan.

Krzyknęlibyśmy: „Hurra!”, Gogo, Diana i ja oczywiście, ale nie chcieliśmy dobijać mamy. Pomyślałaby, że Stokrotką robiła nam krzywdę, a przecież chciała dobrze. Tego byliśmy pewni. Powstrzymaliśmy się więc od wybuchu radości tym łatwiej, że wstąpiła w nas nadzieja przeżycia czegoś nowego.

Gdy tata już zjadł i chwilę odpoczął, powiedział do nas:

– Kochani! Dzisiaj w pracy, gdy wróciłem z delegacji, Tomek zaproponował mi fantastyczną rzecz.

– Tomek?! – mama żywo zareagowała na imię kolegi taty. – To ten, co robi głupie kawały? A tobie dokucza?

– Ten sam. Tym razem jednak Tomek był bardzo serio, a na dowód, że nie knuje kolejnej intrygi, dał mi klucze – tu tata wyjął z teczki zardzewiałe klucze i pomachał nimi. – Oto one. Klucze do willi z ogrodem i lasem za progiem.

Gogo, jako że z natury jest podejrzliwy, a w dodatku, o czym zapomniałam wam powiedzieć, pasjami czyta kryminały, skrzywił się.

– Trochę to wszystko dziwne. Klucze przeżarte przez rdzę i gest pana Tomka, taki bezinteresowny. I ta willa...

Czy ktoś jeszcze u was w pracy o niej słyszał? – badawczo spojrzął na tatę. – Podejrzane. Moim zdaniem, podejrzane.

Tata nie dał się zbić z tropu.

– Ta willa to niespodzianka dla narzeczonej Tomka. Ale narzeczone ma egzaminy i nie mogą do willi pojechać. Tomek prosi, żeby jej przypilnować, ma się rozumieć – willi. Potem kogoś wynajmie. „Pojedziesz tam, Teofilu, z rodziną na urlop, a ja będę miał spokojną głowę – powiada. – Wilk będzie syty i owca cała”.

A Diana na to:

– Ale który z was to wilk?

Tata nie zrozumiał aluzji, czy też zrozumieć nie chciał. Mówił długo jak nigdy i tak już tego miał dosyć, że dosłownie resztką sił wydobył z teczki mapę i pokazał na niej mały punkt.

– To tu. Nazywa się Bagienko. Tam pojedziemy.

Mama się zdziwiła:

– Tak daleko stąd pan Tomek kupił willę?

Ale dała spokój. A gdy tata zasnął, uśmiechnęła się do nas:

– Nareszcie odmiana, prawda? – I zamyśliła się:

– Hm... Dziwna ta nazwa: Bagienko.

Gdy rok szkolny nareszcie się skończył, spakowaliśmy się, tak jak do Stokrotki, i wykupiliśmy bilety. Tym jednak razem do Bagienka. To znaczy, nie całkiem. „Do Bagienka dojedziecie taksówką – miał powiedzieć pan Tomek. – Od stacji to pięć kilometrów”.

I tak, podnieceni podróżą w nieznaną, czerwcowym jasnym porankiem podążyliśmy na dworzec PKP.